



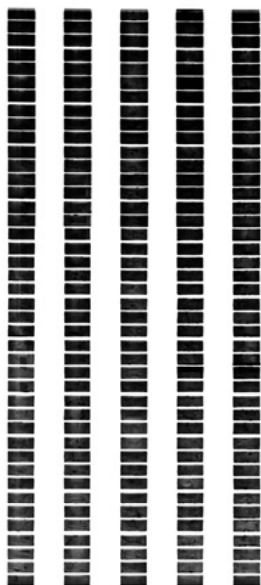
REMIGIUSZ

MRÓZ

BEZKARNY



FILIA



REMI GIUSZ

MRÓZ

BEZKARNY

FILIA

Dla tych, którzy mają na półkach wszystkie moje książki.
(Z przeprosinami za to, że niedługo
pewnie będzie trzeba dokupić regał)

Cóż wiesz o pięknie?...

Kształtem jest miłości.

Cyprian Kamil Norwid

ETAP PIERWSZY

MANIPULACJA

1

NORWID

Zdarzenia czekały, by nabrać kształtu. Uformowałem je wcześniej z dobrze przygotowanego materiału, przez wiele miesięcy śledząc tę kobietę, przyglądając się jej i analizując każdy krok, który stawiała. Badałem jej zwyczaje, upodobania, antypatie, relacje rodzinne, stosunki sąsiedzkie, sprawy zawodowe, aktywność w sieci – właściwie wszystko, co mogło mi się przydać.

Poznałem ją lepiej, niż ona znała siebie.

A teraz mam zamiar wykorzystać całą tę wiedzę przeciwko niej.

Moje oczy są nieruchome, utkwione w jednym punkcie przede mną, mimo że wagon metra przetacza się ciężko po torach. Głowa i ciało się kołyszą, wzrok nie. Zupełnie jakby stał się celownikiem, przed którym ta kobieta nie może uciec.

Siedzi przede mną, pozornie niefrasobliwa, w spokoju czekająca, aż skład dotrze na jej stację. Ale tak naprawdę zagubiona gdzieś w labiryncie swoich myśli.

Elżbieta Sosnowska. Dla przyjaciół Sosna.

Moja ofiara, choć jeszcze całkowicie tego nieświadoma.

2

SOSNA

Dziś mija rok, odkąd Daniel mnie zostawił, a ja wciąż błądzą po resztkach naszego wspólnego życia, zbierając okruchy siebie. Byliśmy ze sobą dziesięć lat. Z gatunku tych długich dziesięciu lat, nie tych krótkich. Zaczęły się jeszcze przed maturą, kiedy czas wydaje się biec znacznie wolniej, a skończyły się, kiedy byliśmy już pewni siebie nawzajem, pewni naszej przyszłości, pewni zamiaru założenia rodziny. A przynajmniej ja byłam.

Nie wróciłam do siebie przez ten rok. Początkowo nawet nie próbowałam, miałam bowiem przekonanie, że straciłam coś, czego odzyskać się nie da. Nie tyle partnera, ile część siebie. Powstała we mnie wyrwa, która wydawała się niemożliwa do załatania, nie szukałam więc nawet materiału nadającego się do jej wypełnienia.

Presja rodziny, przyjaciół, znajomych była jednak nieustająca – i w końcu uświadomiła mi, że muszę ruszyć dalej. Ułożyć nowe plany, nowe zamiary, nową siebie. I tym razem postarać się o to, by nie być zależną od nikogo. Stworzyć się na nowo, na własnych warunkach.

Samodzielnie położyć fundament – i dopiero kiedy poczuję się na nim stabilnie, zaprosić kogoś do wznoszenia na nim konstrukcji.

Tyle, jeśli chodzi o teorię. Praktyka jest taka, że po dwunastu miesiącach siedzę w wagonie metra zmierzającego ze stacji Pole Mokotowskie na stację Kabaty. Jadę trasą, którą przemierzaliśmy z Danielem praktycznie co tydzień, kiedy z naszego mieszkania przy Narbutta chcieliśmy dostać się do Lasu Kabackiego.

Złączyliśmy tam wszystkie ścieżki, każde drzewo kojarzy mi się z jakimś wątkiem, który przy tej czy innej okazji poruszaliśmy, każde miejsce jest zabarwione jakimś wspomnieniem. Mimo że od roku chodzę tam sama, Daniel cały czas mi towarzyszy.

Nie powinnam tego robić. Moja terapeutka w zawołanych słowach wyjaśniła mi, że skoro już muszę chodzić sama po lasach, lepiej, żebym robiła to w Wawrze albo na Bielanych. Nowe otoczenie, nowa ja.

Tymczasem stara ja dalej ciągnie na Kabaty, na znajome ścieżki, pod znajome wiaty, wreszcie w znajome wspomnienia. Czego tam szuka? Nie wiem. Wiem tylko, że z całą pewnością tego nie znajdzie.

Dziś też czeka mnie powtórka z rozrywki, a za kilka godzin będę wracać do domu w stanie gorszym niż obecnie. Nie przejmuję się tym, nie zastanawiam. Po prostu chcę być tam, gdzie spędziłam tyle pięknych chwil z Danielem. Zupełnie jakbym dzięki temu mogła je wszystkie odzyskać.

Zapewne gdzieś przy Parku Kultury w Powsinie najdzie mnie, że Dan tworzy teraz zupełnie nowe

wspomnienia z kimś innym. Będę przekonywała się, że to nic nie szkodzi. U mnie ubyłoby trochę radości, u kogoś innego jej przybędzie, w ogólnym rozrachunku nic się na świecie nie zmieni.

W duchu będę jednak nienawidzić kobiety, dla której mnie zostawił. Zazdrościć jej, przypisywać jej najgorsze cechy, oblepiać ją najohydniejszymi epitetami, a wszystko po to, by nie myśleć o jednym: że jest lepsza ode mnie.

Nie ma lekko krzywego nosa ani nadwagi, może pochwalić się znacznie atrakcyjniejszymi wymiarami, jest bardziej otwarta, skłonna do szaleństw, może jakichś nagłych porywów namiętności. Ciekawiej spędza się z nią czas, nie ma wahań nastroju, potrafi żartować ze wszystkiego.

Bez względu na to, jak bardzo oczerniam ją w duchu, jak głęboko w szlamie niechęci ją zanurzam, ten pozytywny obraz zawsze wypływa na wierzch. Nikt nie zostawia nikogo po dziesięciu latach, bo poznał przeciętną osobę, prawda?

– Chyba w ten sposób nie znajdziesz odpowiedzi – rozlega się nagle męski głos.

Co? Wypowiedziałam moją myśl na głos?

Natychmiast potrząsam głową i kieruję wzrok w lewo, na mężczyznę, który siedzi po przekątnej, po drugiej stronie wagonu.

Patrzy na mnie tak, jakby pytał, czy na niego czekałam. W lekko bezczelny, odważny, ale całkowicie niegroźny sposób.

– Słucham? – mówię.

– Wyglądasz, jakbyś się nad czymś głęboko zastanawiała.

– Bo może to robię.

– Ale jednocześnie, jakbyś nigdzie nie mogła dostrzec rozwiązania.

Mam ochotę tylko westchnąć, a potem wyciągnąć komórkę i udawać, że jestem całkowicie pochłonięta pisaniem esemesa, scrollowaniem TikToka lub sprawdzaniem maili. Nie robię tego tylko ze względu na to, że facet trzyma w rękach jakąś książkę. A ja zawsze wychodzę z założenia, że czytanie w komunikacji miejskiej to najlepsza reklama człowieka, jaka istnieje. Tylko głowa wypełniona książkami ma jakąkolwiek wartość.

Nieznajomy trzyma nowe wydanie *Gdy leżę, konając* Williama Faulknera. Chyba trochę pretensjonalnie i na pokaz. Takich rzeczy nie zabiera się ze sobą do metra. Raczej czyta się je w domowym zaciszu, kiedy można w pełni skupić się na tym, co przed oczami.

– To tylko okładka – odzywa się.

– Aha.

Unosi lekko książkę i wzrusza ramionami.

– W środku jest Colleen Hoover – dodaje.

Mimowolnie się uśmiecham, a on bierze ten uśmiech za zdobycz, której oczekiwał. I zupełnie jakby uznał, że już niczego więcej ode mnie nie potrzebuje, kiwa nieznacznie głową, po czym na powrót skupia się na lekturze.

Nieśmiertelny głos znanego lektora oznajmia, że skład dotarł do stacji Stokłosy, kilka osób wysiada, kilka wsiada. Nieznajomy nawet nie drga, nie podnosi wzroku, wydaje

się wpaść w jakąś studnię, która mieści się między stronami tej książki.

Korzystam z okazji i mu się przyglądam. Nie jest przykro na niego patrzeć. Twarz smukła i oprószona kilkudniowym zarostem, barki szerokie, dłonie dość duże, a włosy gęste i lekko rozwichrzzone. Umięśniony w nie-nachalny, ale widoczny sposób – z pewnością nie musi wciągać brzucha, kiedy pozuje do zdjęć, tak jak robi to Daniel.

Moje myśli skręcają w jego kierunku, jak zawsze, kiedy poznaję kogoś nowego. Zamiast zastanawiać się nad cechami napotkanych osób, przeważnie głowię się nad tym, jak Dan poczułby się, gdyby zobaczył nas razem.

Im przystojniejszy facet, tym chętniej rozwijam te wizje, wyobrażając sobie, jak mojego byłego powoli nadgryza zazdrość, a zaraz potem zżera go już od środka żal, że tak łatwo ze mnie zrezygnował.

Nieznajomy nie podnosi wzroku, zupełnie nieświadomy, do jakiego celu właśnie wykorzystuję go w myślach. Kiedy docieramy do jednej z ostatnich stacji, nagle orientuję się, że to tyle nieuprzejme, ile niemoralne.

A może nie? Może dopóki dzieje się to tylko w mojej głowie i nikomu nie szkodzi, nie ma w tym niczego złego?

– Następną stacją: Kabaty – mówi nieśmiertelny głos.

Znów patrzę na nieznajomego. Przewraca stronę, ale robi to tak powoli, jakby nie był pewien, czy może popłynąć dalej z narracją. Nie czytałam tej książki, ale jeśli jest taka jak inne pozycje Faulknera, to zapewne tętni duszącym ciężarem, jakby autor za punkt honoru postawił

sobie, by o wszystkim, nawet o robieniu kawy, pisać nie jak o zwykłej, prozaicznej czynności.

Facet nadal na mnie nie patrzy, a ja zastanawiam się, po co w ogóle mnie zaczepiał. Ten typ raczej tego nie robi. Zazwyczaj wydają się tak zmęczeni swoją przystojnością, że nie mają już sił na jakiegokolwiek wysiłki wobec kobiet. Są w stanie przyjąć tylko to, co zostanie im zaoferowane, podane na talerzu.

Po chwili skład zwalnia i z obezwładniającym łoskotem zatrzymuje się na Kabatach. Ludzie jeszcze przez moment się nie poruszają, po czym w końcu jakaś siła unosi ich jak kukiełki. Widma z oczami utkwionymi w komórkach powoli grawitują ku drzwiom, które zaraz się rozsuną.

– Uwaga, stacja końcowa – rozlega się z głośników.

Kiedyś był to dla mnie zwykły komunikat, od roku jednak brzmi jak zapowiedź mojego osobistego Sądu Ostatecznego. Nie pomaga fakt, że po wyjściu na peron w oczy od razu rzucają mi się niebieskie tabliczki z napisem „Koniec trasy”.

Kieruję się w stronę schodów prowadzących na ulicę, nie interesując się typem od Faulknera. Zakładam, że idzie z nosem w książce, może w przeciwnym kierunku.

Kiedy wychodzę z metra i ruszam w stronę Lasu Kabackiego, orientuję się jednak, że tamten mężczyzna jest tuż obok, zmierza w tę samą stronę, porusza się niemal identycznym tempem. Sprawiamy wrażenie, jakbyśmy szli razem.

Patrząc na niego ze zdziwieniem i dostrzegam podobny wyraz na jego twarzy, który szybko przeradza się

w zakłopotanie. Wydaje się do niego nie pasować, a jednocześnie w jakiś sposób współgrać z jego duszą.

– Przepraszam – mówi.

– Za co?

– Właściwie nie wiem.

– To może nie powinieneś przepraszać.

Choć lepiej w tę stronę niż odwrotną, kwituję w duchu. Żebym usłyszała jakiegokolwiek przeprosiny od Daniela, musiałby chyba zabić kogoś na moich oczach i obryzgać mnie krwią. A potem uświadomić sobie, że ofiarą była moja matka.

– Wygląda, jakbym za tobą szedł – odzywa się nieznajomy.

– W sumie to obok mnie.

– Mimo wszystko...

– Zawsze możesz zwolnić – zauważam. – Albo przyspieszyć.

– Tyle że to moje naturalne tempo.

– Moje też.

– To może po prostu odbiję gdzieś w bok.

– Może – odpowiadam. – Zależy, dokąd idziesz.

Nawet nie wiem, kiedy znalazłam się w samym środku konwersacji, która przed momentem jeszcze nie istniała. Jest mi w niej jednak nadspodziewanie dobrze.

– Do lasu – oznajmia.

– To pechowo.

– Tak?

– Bo ja też.

Miłośnik nowego przekładu Faulknera krzywi się, jakby nagle poczuł dotkliwy ból.

– To faktycznie pech – mówi.

Dalej idziemy w tym samym kierunku, z tą samą prędkością, patrząc głównie przed siebie, jakby zerknięcie na drugą osobę mogło urealnić tę przedziwną sytuację.

– Za jakieś dwieście metrów będziesz miał okazję się uratować – oznajmiam.

– W jaki sposób?

– Zatrzymam się na gofry.

– O...

– Konkretnie na słynne rzemieślnicze gofry u Ireny z Lublina – precyzuję. – I mam zamiar zakupić gryczane z masłem orzechowym.

– Okej...

– Wezmę je na wynos, bo zawsze jem dopiero w lesie, i wtedy będziesz miał szansę się urwać.

– Dzięki za cały pakiet informacji. Na pewno skorzystam z okazji.

Zaczynam się zastanawiać, kto tutaj z kim flirtuje. Odnoszę wrażenie, że przejęłam pałeczkę, a nieznajomy zasadniczo nie musiał robić nic, by tak się stało. Czuję się z tym dziwnie. Od roku nawet nie zbliżyłam się do podobnej sytuacji.

– To brzmi jak jakaś dobrze ugruntowana świecka tradycja – zauważa.

– Jaka tam świecka, te gofry to religia.

Słyszę, jak facet cicho prychnął.

– Jestem ich wyznawcą od jakichś czterech lat – dodaję, sama nie wiem po co. – Czasem nawet zastanawiam się, czy przyjeżdżam tu do lasu, czy na gofry.

– Odpowiedź wydaje się oczywista.

– Możesz niestety mieć rację.
– W takim razie może powinienem spróbować?
– Wtedy się nie urwiesz.
– Poczekam na następną okazję – odpowiada i w końcu obraca do mnie głowę.

Nie mogę tego zignorować, również na niego patrzę. Jego oczy zdają się absorbować światło, jest w nich coś niepokojącego, a przez to także pociągającego. Wypełniają się jakimś żarem, zabierając go wszystkiemu wokół.

Docieramy do cukierni, a ja nagle zastygam, bo zupełnie nie wiem, co zrobić, jak się zachować. Przedstawić się? Jakoś skomentować tę jego ostatnią uwagę? A może po prostu go pożegnać, dając do zrozumienia, że nie jestem zainteresowana... czymkolwiek, co się właśnie dzieje?

Nie mam okazji wybrać żadnej z tych ewentualności, bo typ od Faulknera otwiera mi drzwi i zaprasza do środka zamaszystym ruchem ręki.

– Prowadź – mówi. – To twoje terytorium.

Stajemy w kolejce, a mnie wciąż o ściany głowy objęta się jedna myśl: co ja, kurwa, robię?

– Norwid Zabielski – odzywa się nieznajomy.

Odchrząkam cicho, żeby ugrać cenne sekundy na zastanowienie. On wyciąga rękę, moja ani drgnie.

– Tak się nazywam – dodaje z lekkim uśmiechem.

– No trudno.

Co ja właśnie powiedziałam?

– Cóż... – kwituje Norwid.

– Nie to miałam na myśli. To znaczy...

– Gdyby rodzice dali mi wybór, pewnie też zdecydowałbym się na inne imię.

– Nie, nie, jest całkiem...

Brakuje mi określenia, które nie zabrzmiałoby jak beznadziejna próba wygrzebania się z tego ambarasu.

– Zawsze mogło być gorzej – ratuje mnie Zabielski.

– Na przykład Mickiewicz?

– Na przykład.

Patrzy na mnie z niewypowiedzianym pytaniem, starając się sprawić, że zrewanżuję się podaniem mu choćby imienia. Nie wiem, dlaczego tego nie robię. Zamiast tego milczę i przesuwam się bliżej kasy, kiedy jedna z klientek siada z goframi przy stoliku.

– Obowiązuję cię jakieś wewnętrzne RODO? – pyta Norwid.

– Po prostu buduję suspens.

– Nieźle ci idzie.

Posyłam mu nieznaczny uśmiech, który niknie gdzieś pomiędzy naszymi splatającymi się spojrzeniami. Czuję się, jakby jego wzrok w jakiś przyjemny sposób mnie uwiązał.

– Ela – oznajmiam. – Ale wszyscy mówią Sosna.

Zabielski podaje mi rękę, a ja powoli wyciągam swoją. Kiedy ujmuję moją dłoń, nie mogę nie zauważyć, że robi to w sposób zarówno zdecydowany, jak i nieśmiały. Ma mocne, masywne ręce, ale zaskakująco delikatne.

– Od budowy ciała? – podsuwa Norwid.

– Od nazwiska.

– Czyli... czekaj, niech zgadnę. Elżbieta Brzozowska.

Czarujący uwodziciel,
bezwzględny manipulator
i profesjonalny oszust.

Bierze na celownik kobiety znajdujące się w trudnej sytuacji życiowej, samotne, potrzebujące wsparcia. Daje im wszystko, o czym marzyły, a nawet więcej. Jest wyśnionym partnerem, przyjacielem, kochankiem – mami swoje ofiary wizjami wspólnej przyszłości i bezgranicznego szczęścia. Robi to jednak wyłącznie po to, by je wykorzystać i pozbawić wszystkich oszczędności. A kiedy zaczynają walczyć, zaczyna zagrażać ich życiu.

Pozostaje bezkarny. Zmienia tożsamości, unika policji, dba o każdy szczegół swoich manipulacji. Trafia jednak w końcu na kogoś, kto zrobi wszystko, by doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości.

Walka między dobrem
a złem jeszcze nigdy
nie była tak osobista.

cena 49,90 zł

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilija.pl



FILIA MROCZNA
STRONA

